



Mróz

Po całutkim świecie chodzi
taki sobie mróz-czarodziej,
zwidza wszystkie krańce świata
i ludziskom figle płata!

Chodzi sobie mróz-czarodziej
i każdego za nos wodzi,
gdzie się tylko człowiek ruszy,
zaraz chwyta go za uszy.

O nic nie dba, tylko śmiało
od sadyby do sadyby
chodzi sobie zimę całą
i maluje w oknach szyby.

I maluje cudów krocie,
i maluje dziwów tyle,
pawie pióra i paprocie,
drzewa, kwiaty i motyle!

Brylantowo-białym szronem,
wciąż maluje mróz-czarodziej,
dzieci w okna zapatrzone
malowaną wiosną zwodzi!

W każdy kątek tak się wciska,
że od zimna drżą ludziska;
wszystkich dręczy, wszędzie

wchodzi!

• synek zimy — mróz-czarodziej!

Czarodziej



Czarodziejska przygoda Krzysia

Uczesać się?
Oczyszczyć buty?
Domyć ręce?
Poco? Na co?

Włosy zaraz znów dęba staną. Buty za progiem w tej chwili się zakurzą. A ręce? Ręce się nie zechcą domyć wogóle.

— Serce Krzysia jest pełne buntu.

Krzyś lubi swobodę. Chciałby być Reksiem. Reksia myje się raz na tydzień, a pies mógłby stać w wystawowym oknie, taki elegancki. Zębów mu się wcale nie myje, a ma śliczne i do dentysty nie pójdzie. Dobrze stworzeniu na świecie! Tylko chłopak z trzeciego oddziału ma życie obrzydzone ciąglem pamiętaniem:

— A obetnij paznokcie! A powieś palto! A wytrzyj nogi! A nie pociągaj nosem!

Tak! tak! Wolalby być Reksiem, albo wróblem.

Właśnie jest takie cudne, pogodne popołudnie. Krzyś stoi w oknie i gapi się.

Niedobrze, że ma iść z mamą z wizytą, na imienniny. Czuje już, ile trzeba się będzie zaraz nacierpieć. A gdyby był wróblem, albo jaskółką, toby frunął bez mycia i czesania w ten błękit... fiu! i już. Pofrunąłby na sam czubek topoli, potem, jak jaskółka, naprzestrzał przez oba wrota stajni i nad las!

A tak co? Namęczy się, natrudzi, a mama przyjdzie i powie:

— Idź, domyj się!

— Och, ucieknę — myśli Krzyś.

I nagle — zmienia się w jaskółkę. Jest jak mały samolotek. Stoi na parapecie okna i może choćby zaraz wystartować. Daleki świat, niebo jakby wołały na niego — coś za szczęście!

Krzyś rusza ptasim łebkiem, zezuje, ogląda się. Ma śliczny biały gorsik, czarny fraczek, błyszczące pazurki.

Gdzieś zginęły wieczne brudne buciska, łapy spierzchnięte i umorusane, opadające, dziurawe pończochy. Jest piękny, lekki, swobodny i nikt mu nie kazać nie może, bo zaraz ucieknie!

Siedzi jeszcze w otwartym oknie a tu w głębi pokoju uchylają się drzwi.

Mama woła: — Krzysiu! Krzysiu! myj-no się! Gdzie ten chłopak przepadł?! Krzysiek, kurтка na łokciach biała! I skarpetki zmień, bo dziurawe. I przedzej, synku, przedzej! A domyj ręce...

Krzyś, gdy padły te straszne słowa: „Domyj ręce!” — frunął — i wzbil się odrazu na trzysta metrów.

W dole był świat. Kręciła się rzeka, wyskakiwały dachami niskie i wysokie domy, uciekały lasy i kwadraty pól. Samochody, pociągi, wozy, rowery były, jak rozkoszne zabawki dla dawnego Krzysia.

— Och! — myślał Krzyś, — aeroplanom i ptakom jest przyjemnie, bo świat jest bardzo śmieszny z góry. Przyjemnie jest tak lecieć, tak uciekać od wybierania się na wizytę.

Zniżył lot i wzbil się. Znow spadł i wzbil się. Cudowna huśtawka!

— Teraz zawrócę i zajrzę do mamy, co porabia...

Ale powiał mocny wiatr i Krzyś nie mógł zawrócić. Potem chmura zasłoniła mu ziemię i nie wiedział, gdzie leci.

Diłgo niesły go skrzydełka, pchane wysokim nadobłocznym wichrem i wreszcie przyleciał nad jakies cudowne ogrodz.

Był widocznie wieczór, bo świat stał się różowy i fioletowy, jak od bengalskich ogni. Drzewa były innego kształtu i koloru, niż w Krzysiuwym sadzie. W książce z baśniami Krzysiek widział podobny ogród.

— To jakaś dziwna kraina — pomyślał ucieszony, bo zawsze marzył, żeby bajka działa się naprawdę.

Poczuł zmęczenie i usiadł na ławce. Usiadł na ławce z głupiego przyzwyczajenia, bo powinien był usiąść na gałęzi. Ale też zaraz, gdy dotknął ławki, zmienił się w chłopczyka.

— O, mój Boże! — powiedział — jaki ja morus, a tu tak pięknie!

W tej chwili nadbiegło jakieś dziwaczne, ale wytworne stworzonko w atlasowym fraczku i wręczyło Krzysiówi kartę. Ta karta była nadzwyczajna. Małeńkie niebieskie literki zapadały się na niej i gasły, jak światła ogłoszeń w wielkiem mieście. I Krzysio odczytał:

B A L

Bal? Jaki bal? Czy to zaproszenie? Może to będzie zaczarowany bal? Krzysio zobaczył tam nadzwyczajne rzeczy i ubawi się, jak król.

Obejrzał kartkę z drugiej strony. Tam wyskakiwały mniejsze litery i tańczyły, jak baletniczki, śpiewając kolorowymi błyskami:

— Każdego, kto przybywa z dalekiego świata,
elfy na ucztę zaproszą, jak brata.
Niech ma tylko paznokcie pięknie wyczyszczone,
ręce umyte, włosy ułożone...
Poprząszywane do kurtki guziki,
czysty kołnierzyk, błyszczące buciki...

Krzysio zerwał się z ławki.

Musi być na balu elfów!

Bal będzie na pewno prześliczny! W dodatku Krzysio jest głodny, obiecuje sobie ucztę. Już coś tak pachniało, naprzemian, jak pieczone i jak owoce!

Spojrzał na swoje ręce.

No, rzeczywiście nie można iść z takimi łapami na ucztę do elfów. Ale cóż tam błyska wśród kwiatów? To sadzawka z różowego marmuru. Krzysio podszedł do sadzawki. Drżała od płasów złotych rybek, ale gdy Krzysio się zbliżył, stało się tak, jakby ktoś zawołał na złote rybki, bo nagle wszystkie przystały. Woda uciszyła się i zmieniła w lustro. Krzysio, nisko pochylony, zobaczył się poraz pierwszy w życiu w całej okazałości.

Woda naumyślnie tak się wygładziła, aby Krzysio raz dobrze zobaczył swoje uszy, szyję i koniec nosa.

— A to ci ucho! Ha, ha! A to ci nos! — krzyknął z podziwu, bo ta woda była, jak powiększające szkło!

— Wartoby się umyć! — zauważył szeptem. — o tak. No, i głowę mam, jak furę śmieci. I wogóle...

Zaczął szybko, szybko ściągać ubranie, buciki i jak szalony wskoczył z głową do różowej wody.

Gdy wyskoczył, powiał ciepły wiatr, miły i miękki jak prześcieradło i wysuszył go odrazu.

Krzysio ze zdumieniem przyjrzał się swoim rękom. Były prześliczne. Nie, to nie do wiary, że ręce mogą być aż tak czyste! Prawdziwie balowe ręce... I nos był balowy.

Krzysio się ubierał starannie.

Fontanna zaszemrała i lekko skropiła mu czuprynę. W bocznej kieszonce zaczął się drapać i ruszać, jak mysz, mały grzebyk. W końcu wysunął się prosząco: Krzysio przyglądał nim włosy. Głowa jego straciła zupełnie podobieństwo do kopki siana. Buty miał jeszcze nieoczyszczone, gdy chyżo przybiegł prześliczny elf z prośbą, żeby się Krzysio spieszył, bo elfy prawie tak nie lubią spóźniania się, jak nieeleganckich gości. Krzysio więc nagwałt zieloną szczoteczką z mchu oczyścił buty i pobiegł.

Chustka do nosa, którą zgubił, gonila go rozpaczliwie przez pięć alejek.

W końcu doznała i wskoczyła mu do kieszeni. Zziajana jak psina.

Krzysio poczuł się bardzo pewny siebie:

Guziki wszystkie ma. Chustkę ma. Uszy czyste. Włosy, jak ulał. Paznokcie, jakich świat u uczniaka nie widział. Więc, choć nie miał skrzydeł, czuł się lekki, jak ptak. Coś go niosło przez powietrze.

Na balu bawił się świetnie, wspaniale! Ale opowiadać o balach elfów nie wolno.

Jedyne, co pozostaje ciekawym, to być zawsze umytym i uczesany, bo nigdy niewiadomo, kiedy które dziecko zostanie zaczarowane i otrzyna na taki bal zaproszenie!

Mrozowa robota

Chcesz mieć tysiąc pociech?

Stań sobie przy płocie.

Spójrz na czapki kółków z płota,
to mrozowa jest robota.

Szył je mróz przez nockę całą
ze śnieżnego materjału,

każdą uszył inną,
czyż tak być powinno?

Ten pierwszy kołeczek
dostał kaptureczek.

Drugi nosić musi
babcin kapelusik,
a znowuż ten trzeci:
uczniowski berecik,

a ten w rzędzie czwarty:
czepek imię kucharki,
a piąty od steczki:
kołpak staroświecki

A ostatni kołek,
ten przy końcu drogi —
śnieżną rogatywkę,
co ma cztery rogi.

Chcesz mieć tysiąc pociech?

Stań sobie przy płocie.

Spójrz na czapki kółków z płota,
to mrozowa jest robota.



Bajka o śnieżnej Królownie

Antoś S. z Rygi

Mała Marysia mieszkała w małym, ciastnym domku leśniczego. Domek stał samiotki w dużym, pięknym lesie. Wiosną było tu bardzo ładnie. Marysia wstawiała raniutko, aby słuchać świergotu ptaszków i patrzeć, jak wiewiórki skaczą z gałązki na gałązkę. Ale zimą, kiedy las pokryty jest białą płachtą śniegu i wszystkie zwierzątka i ptaszki śpią — wtedy jest smutno i trochę straszno. Ale Marysia nie bała się niczego.

Pewnego zimowego wieczoru mała Marysia zbłądziła. Bo i jakże, kiedy wszystkie ścieżki były zasypane śniegiem i w dodatku było tak ciemno!

Błądziła Marysia po lesie długo, długo i nie mogła trafić do domu. Była bardzo zmęczona, więc usiadła pod starą sosną i myśli: „Odpochnę chwileczkę”. Siedziała sobie Marysia i patrzyła smutno na gwiazdki, które mrugały i zdawały się do niej uśmiechać. Wtem patrzy — jakaś piękna pani na białym obłoczku powoli opuszcza się na ziemię. Marysia od razu poznała, że była to Królowna Śnieżka. Królowna ubrana była w powłuczystą suknię utkaną z małych, lśniących gwiazdek. Na suknię narzucony był kontusz, obsyty białym puszkciem. Na głowie miała koronę z lodowych diamentów i pereł. Księżyc i gwiazdy odbijały się w brylantach i prześlicznych klejnotach cudnego zjawiska.

Gdy Śnieżna Królowna dotknęła nóżkami ziemi — spytała się Marysi, czyby nie chciała pójść z nią. Marysia zapatrzona w śliczną Królownę, nie mogła słowa przemówić — tak była zachwyconą. Królowna poszła przed siebie, a Marysia ci-chutko podążyła za nią. Szły, szły, aż tu Marysia patrzy — stoi jakiś domek — jej własny domek!

Królowna stanęła koło okienka i zaczęła malować na szybkach precudne


wzory. Były tam palmy i jodły, choinki i różne kwiatki.

Marysia wyciągnęła rączkę, aby poprosić piękną Śnieżną Królownę, by i jej pozwoliła popробować malować kwiatki, lecz wtem... obudziła się. Spojrzała na okno i zobaczyła śliczne lodowe kwiatki. Uśmiechnęła się, bo wiedziała kto to malował...



Śnieg pada

Zobaczyły aniołeczki
tam, z nieba,
że już ziemi nowej szaty
potrzeba.
Zanim znów się brzydki deszcz
rozetka,
dalej skubać swe anielskie
skrzydelka.
Dalej rzucać białe puchy
na ziemię;
niechże sobie pod pierzynką
podrzemie!
Dalej rzucać na zziębnięte
sosenki;
niechże mają już zimowe
sukienki!
Pada, pada z nieba śnieżek
bielutki,
aż za jaśniał sad przy chacie
cichutki.
Płot się ubrał w białe czapy
i strzecha.
— Śnieżek, śnieżek! Toż dla dzieci
uciecha!



Moja starsza siostra

Moja starsza siostra, Bronka,
ma robotę:
szyje dla krawca kamizelki.
Dostaje na dzień dwa złote.
Złotówkę daje na dom mamie.
Złotówkę odkłada do blaszanej

skarbonki,
bo chce sobie uskładać na pantofle,
takie, jakie ma Władka,
koleżanka Bronki.
— Pójdę w tych pantofelkach —
mówi Bronka —
do parku, do Łazienek, jak będzie
wiosna!

I odrazu ma wesołe oczy,
i odrazu cała jest radosna.
— Pójdę w tych pantofelkach do teatru.
(tam nigdy jeszcze nie byłam),
albo do kina.
I uśmiecha się, schylona nad robotą,
i cała jest jakby inna.

W niedzielę nie jadła obiadu.
(Od tego szycia bolała ją głowa).
Zdjęła skarbonkę z szafki:

— Czy ciężka? Czy do otwarcia
gotowa?

Ważyla ją na chudej dłoni,
uważna, uśmiechnięta:
— Wystarczy na pantofelki jasne,
na jasne pantofelki od święta.
A w poniedziałek
przyszedłem ze szkoły zmarznięty.
Nogi miałem sztywno, jak druty.
Mroz był straszny na dworze.

Do szkoły droga daleka, a ja mam stare,
dziurawe bardzo buty.

Bronka siedziała przy maszynie. Szyla,
Nie powiedziała nic, tylko uważnie
popatrzyła.

Wieczorem wyszła na miasto.
Wróciła. Ogień napaliła suty
i przy mojem postawiła łóżku
nowe, nowiutkie buty.

— Masz — powiedziała
i mocno pocałowała mnie w usta

— — — — —

Skarbonki nie było na szafie
Skarbonka była pusta.



— H U M O R —

W cyrku

— Jeśli mnie raz jeszcze tak uderzysz, to ci nawymyślłam — mówi karzeł do olbrzymy.

— Jak mi nawymyślasz, to cię schowam do kieszeni — odpowiada olbrzym.

— Nie rób tego — odcina się karzeł — bo będziesz miał więcej rozumu w kieszeni, niż w głowie.

Matematyk

Sześćcioletni Władek rozwiązuje jakieś zadanie arytmetyczne. Nie mogąc sobie dać rady, zaczyna liczyć na palcach.

— Ależ, Władku — mówi mu matka — któż to liczy na palcach! Powinieneś posługiwać się tylko głową.

— Ach, mamusiu, woła malec, przecież ja mam tylko jedną głowę?

Nieporozumienie

— Dlaczego tak późno przyszedłeś ze szkoły, Jasiu? — pyta ojciec.

— Dlatego, że Karol bił się po lekcjach.

— Cóż to cię obchodzi, że Karol się bił? —

— Ale on się ze mną bił, Tatusiu.

W ogrodzie zoologicznym

Mały Miecio poszedł poraz pierwszy do ogrodu zoologicznego.

— Spójrz — objaśnia matka — w tej klatce znajdują się papugi!

Malec patrzy na ptaki z zachwytem.

— Wiesz, Mieciu — poucza matka — że papugi żyją znacznie dłużej, niż człowiek. Ta papuga na lewo ma napewno przeszło sto lat...

— Sto lat? — dziwi się Miecio — i jeszcze jest zielona?

Dlaczego cebula ma tyle sukienek

— Co mam zrobić, żeby być ładniejszą od róży? — pytała cebula dęba.

— Bierz ze mnie przykład, wyrośnij w potężny pień, który przetrwa wieki — odrzekł dąb.

Ale to się cebuli nie podobało. Zapytała więc cebula jabłonki:

— Co man robić, żeby być ładniejszą od róży?

— Nie dbaj o piękność, lecz staraj się o słodkie, orzeźwiające owoce dla zwierząt i ludzi. Patrz, ja się staram. Wtedy będziesz od róży pożyteczniejsza.

Lecz i to również nie podobało się cebuli. Uparła się, że zrobi się piękniejszą od róży. Wdziała więc na siebie sto sukienek cieniusieńkich, mieniących się złotym blaskiem. Ale kiedy się już wystroiła najpyszniej, jak było można, i spodziewała się, że wszystkie kwiaty zachwyci, powiedziały jej kwiaty, że podobniejsza jest do ziemniaka niż do róży, i śmiały się z niej.

Cebula rozplakała się i ze wstydu wlaźła pod ziemię. Od tego czasu rośnie już tylko pod ziemią, a kiedy ludzie ją kraja, to łyżym płyną z oczu.

Jak Bryś stał się niechcący przyczyną katastrofy



Adres „Krasnoludków”: Redakcja „Nasze Życie”, Riga — Dzirnau 57. „Krasnoludki”

Drukarnia „RIT” Riga, Dzirnau ielā № 57